

W NUMERZE

POLITYKA 46/12.11–18.11.2014

TEMATY
TYGODNIA

12 Jacek Żakowski **Sprawa Hofmana i spółki**

14 Edwin Bendyk
O polskich miastach przed wyborami

SPOŁECZEŃSTWO

20 Joanna Drosio-Czaplińska
Odchył w normie

26 Piotr Pytlakowski
Aleksander G. raz na szczycie, raz na dzień

30 Rozmowa z prof. **Rochem Sulimą**, antropologiem kultury, o tym, co dziś znaczą wiejskość

34 Agnieszka Sowa
Co robić ze szczątkami dzieci nienarodzonych

38 Piotr Pytlakowski
Wszystkie winy księdza Andrzeja

RYNEK

42 Juliusz Ćwieluch
Szwajcarska ruletka frankowiczów

45 Jacek Żakowski
Za co dostał Nobla Jean Tirole

ŚWIAT

50 Rozmowa z pisarką **Oksaną Zabuzko** o szansach Ukrainy

54 Filip Gańczak NIEMCY
Berlińskie stoiki

57 Jędrzej Winiecki
Panika wyprzedza epidemię

HISTORIA

60 Marek Henzler **100 lat temu Niemcy zatrzymali Rosjan pod Łodzią**

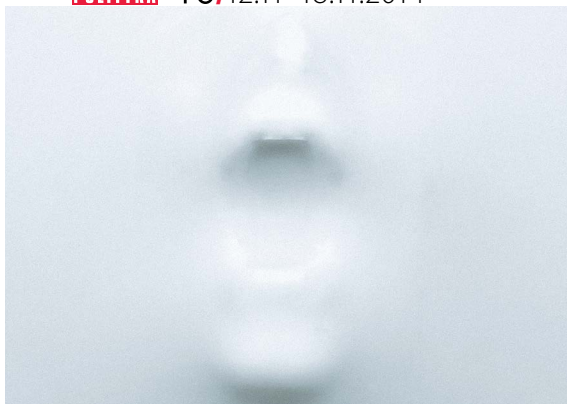
64 Andrzej Fedorowicz **Kulisy śmierci szwedzkich dziennikarek sprzed 30 lat**

NAUKA

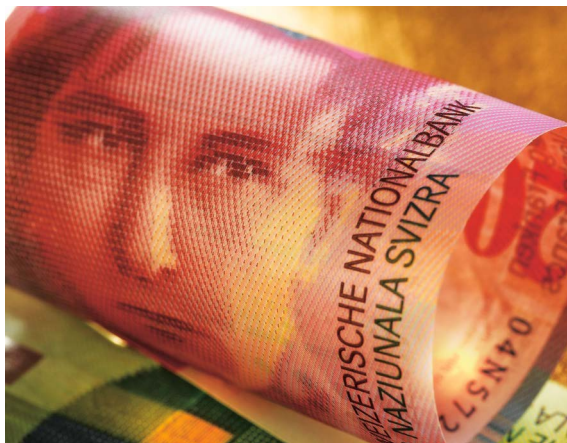
67 **TECHNOECHO**

68 Rozmowa z dr **Anną Baranowską-Rataj**, demografką, laureatką Nagrody POLITYKI, o tym, co naukowcy wiedzą o społeczeństwie

72 Paweł Walewski
Najnowsze sposoby walki z rakiem



20 Kto jest dziś normalny



42 Zadłużeni we frankach



57 Ebola – wirus strachu



80 Fachowcy od ładnych rzeczy

74 Przemek Berg
Niezwykła misja sondy kosmicznej Rosetta

KULTURA

80 Piotr Sarzyński
Subiektywny ranking polskiego designu

84 Justyna Sobolewska
Młodzi pisarze o warszawce

87 KAWIARNIA LITERACKA

Sylwia Chutnik
88 Janusz Wróblewski
Fenomenalny Clive Owen z „Więzów krwi” – film za tydzień do kupienia z POLITYKĄ

90 Dorota Szwarcman
Opera w kinie

93 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

94 Marcin Piątek
Tomasz Mackiewicz – himalaista samouk

97 Ryszard Wolff
Szepty i relaks

100 Barbara Pietkiewicz
Balsamistka makijażystka

NA WŁASNE
OCZY

108 Edyta Gietka,
fotografie
Anna Musiałówna
Domy starości dla wiecznych dzieci

STAŁE RUBRYKI

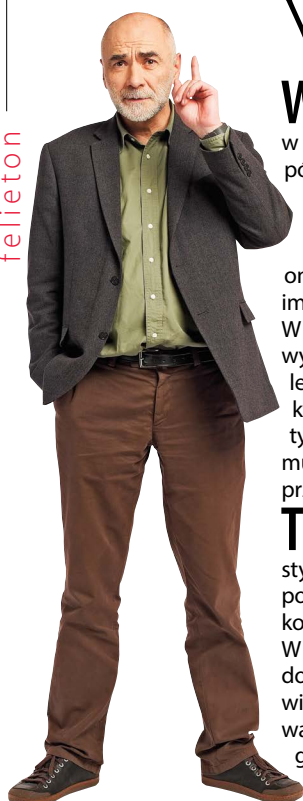
- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 102 Passent
- 104 Hartman • 105 Tym
- 106 Fusy, plusy i minusy
- 107 Do i od redakcji
- 114 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

Wipler pobity na głowę

felieton



Wyborcy podeszli do wyborów ostrożnie i bez entuzjazmu, w wyniku czego na kilka dni przed pójściem do urn aż 31 proc. z nich nie wiedziało, na kogo głosować. Ten stan udzielił się też wielu kandydatom, dlatego podjęli oni decyzję, że w ogóle nie opłaca im się w tych wyborach startować. W efekcie w niektórych okręgach wyborczych zarejestrowano zaledwie po jednym kandydacie, któremu opłacało się wystartować tylko dlatego, że do zwycięstwa nie musiał nic dokładać, gdyż odniósł je przed głosowaniem.

Trzeba powiedzieć, że kandydaci na ogół nie starali się wykorzystywać kampanii do szukania taniej popularności, a niektórzy do samego końca woleli pozostać anonimowi. W stolicy, gdzie działacze pozarządowi usiłowali o kandydatach dowiedzieć się czegoś więcej, mieli poważny problem z dotarciem do nich, gdyż komitety wyborcze namiary na startujących udostępniały

niechętnie. Na 6 tys. osób ubiegających się o mandat radnego w stolicy na prośbę działaczy pozarządowych o wypełnienie kwestionariusza odpowiedziało zaledwie kilkadziesiąt. Odpowiedzi miały przybliżyć wyborcom poglądy startującego, a także jego osobę. Okazało się jednak, że kandydatom nie zależy na afiszowaniu się ze swoją osobą i poglądami, żeby niepotrzebnie nie zniechęcać potencjalnych wyborców. W swoich materiałach reklamowych niektórzy pretendenci jasno zresztą sygnalizowali, że nie są osobami interesującymi czy posiadającymi jakieś poglądy. I słusznie, gdyż w opinii wielu Polaków w działaniu samorządowym nie chodzi o bycie interesującym czy posiadanie poglądów, ale o umiejętność rozwiązywania konkretnych życiowych problemów, które każdy potencjalny samorządowiec na pewno ma i dlatego chce się do samorządu dostać. Tylko nieliczni kandydaci zdecydowali się na intensywną autopro-

mocję, dzięki której mogliśmy ich poznać z różnych stron. Kandydat Wipler postawił np. na odważną, ale szalenie męczącą promocję telewizyjną, w ramach której przez kilka dni był przewracany i bity pałką w programach informacyjnych największych stacji przez młodą agresywną policjantkę. Niestety, moim zdaniem była to promocja niecelowa ze względu na to, że za każdym razem incydent kończył się przegraną Wiplera, który nie umiał sobie z policjantką poradzić, gdyż był pijany, co było irytujące i ostatecznie zniechęciło do głosowania na niego.

Owiele lepiej wypadła w tym materiale młoda policjantka – osoba nie tylko atrakcyjniejsza i sprawniejsza fizycznie od Wiplera, ale także w przeciwieństwie do niego do końca zachowująca trzeźwość umysłu i doskonale wiedząca, czego chce. Dlatego ostatecznie uważam, że jeśli tylko zdecydowałyby się na start w wyborach, mogłyby zdobyć o wiele więcej głosów niż poseł Wipler.



Spójrz w przyszłość i chroń rodzinę.

MetLife Invest to połączenie ochrony ubezpieczeniowej z regularnym i długoterminowym inwestowaniem kapitału na przyszłość. Daje Ci poczucie finansowego zabezpieczenia najbliższych i możliwość dodatkowej emerytury na warunkach, jakie preferujesz:

- Wybierz wysokość opłacanych składek oraz sposób wypłaty zgromadzonego kapitału.
- Określ stopień ryzyka inwestycji i jej lokalizację.
- Zdecyduj, kto i w jakim zakresie skorzysta z parasola ochrony ubezpieczeniowej.

Materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Przed podjęciem decyzji o zawarciu umowy ubezpieczenia na życie z ubezpieczeniowym funduszem kapitałowym (UFK) MetLife Invest należy zapoznać się z Ogólnymi Warunkami Ubezpieczenia tego produktu, a szczególnie z postanowieniami dotyczącymi: ograniczeń i wyłączeń odpowiedzialności MetLife TUnŻir S.A. (Towarzystwo), strategii inwestycyjnych poszczególnych UFK, warunków wypłaty i naliczania świadczenia ubezpieczeniowego, a także wysokości opłat i limitów. Inwestowanie w UFK wiąże się z ryzykiem. Ubezpieczenie nie gwarantuje uzyskania zysku z UFK. Towarzystwo nie gwarantuje realizacji założonego w Regulaminie UFK celu inwestycyjnego, a historyczne stopy zwrotu UFK nie gwarantują osiągnięcia podobnych w przyszłości.

Sprawdź na www.metlife.pl 

MetLife®

Rozwijamy się dla Ciebie od ponad 145 lat.

dawniej MetLife Amplico

[Kup książkę](#)



Kulawa Ameryka



Tomasz Zalewski

Po wyborczej porażce demokratów Barack Obama nie zdołał zrobić nic poważniejszego na arenie krajowej w dwóch ostatnich latach swoich rządów. Wobec dominacji republikanów w obu izbach Kongresu pozostaje mu tylko bronić się za pomocą weta, które może zastosować wobec każdej ustawy. Prawica nie jest aż tak silna, aby prezydenckie weto odrzucić, bo do tego potrzeba dwóch trzecich głosów w obu izbach. Jest więc szansa, że Obama obroni jedyną wielką zdobycz swej prezydentury, czyli reformę ubezpieczeń medycznych, oraz zablokuje ewentualne próby rozmycia ustawy dotyczącej banków, przyjętej po kryzysie finansowym 2008 r. Jeśli Obama spełni swoją groźbę i dekretem zalegalizuje pobyt w USA 5 mln nielegalnych imigrantów, co do reszty zatruje stosunki prezydenta z republikanami, to paraliż legislacyjny jest pewny.

Obama znalazł się w takiej samej sytuacji, w jakiej byli jego dwukadencyjni poprzednicy: Reagan, Clinton i Bush jr. Oni też w ostatniej fazie rządów mieli przeciw sobie przewagę opozycji w obu izbach Kongresu. Jeśli prezydenci dogadywali się wtedy z Kongresem, uchwalano ustawy, ale tylko idące po myśli opozycji, jak pomoc dla bezrobotnych za Reagana czy ograniczenia zasiłków socjalnych za Clintona. Mimo to wcale im to nie zaszkodziło – przeciwnie, zbierali pochwały za umiejętność ponadpartyjnej współpracy i zachowali popularność. Polaryzacja polityczna w USA jednak się zaostrzyła i przyczynił się do tego sam Barack Obama. Inaczej niż Reagan, Clinton, a wcześniej Lyndon Johnson, zdystansowany Obama nie potrafił zdobyć sobie sojuszników na Kapitolu poza własną partią. Z liderami GOP w obu izbach: Johnem Boehnerem i Mitchem McConnelllem, spotkał się tylko kilka razy w ciągu sześciu lat.

Obama skupi się teraz na kwestiach międzynarodowych, gdzie wyzwań jest aż nadto (Państwo Islamskie, Ukraina, Iran) i gdzie ma w zasadzie wolną rękę. Ewentualne nasilenie operacji w Syrii i Iraku będzie jednak wymagało pieniędzy, a „władza nad portfelem” należy znowu do Kongresu. Republikanom trudno będzie odmówić sfinansowania walki z islamistami, ale będą zadawać mnóstwo trudnych – i zasadnych – pytań o klarowny cel tej misji. I przez odmowę zniesienia sankcji wobec Iranu mogą uniemożliwić porozumienie z tym krajem. Na zwiększenie pomocy dla Ukrainy i utwardzenie polityki wobec Rosji raczej nie liczymy – w tych sprawach stanowiska obu partii są dosyć zbliżone.

Dysydent i decydenci

Zaczął się od trzęsienia ziemi – na stronach portalu LifeNews pojawił się artykuł zatytułowany „Kreml po cichu sponsoruje Nawalnego”. Sugerowano w nim, że administracja prezydenta i merostwo Moskwy finansują słynnego opozycjonistę przez firmę konkubiny jego najbliższego współpracownika Władimira Aszurkowa. Specjalizujące się w organizacji targów książek Bureau 17 od 2012 r. miało zarobić na państwowych kontraktach 100 mln rubli. Potem napięcie rosło – w redakcji rozdzwoniły się telefony z samej góry, przedstawiciele Kremla nazwali doniesienia LN „pełną bzdurą”, artykuł zdjęto po dwóch godzinach, ale jeszcze tego samego dnia pojawił się znowu. Smaczku tej historii dodaje fakt, że internetowy tabloid Arama Gabrielianowa słynie z apologii Kremla. Eksperci widzą w tej publikacji kolejną

odslonę bitwy klanów. Związany z „siłownikami” Gabrielianow wrzuca dwa grzyby w barszcz: chce skompromitować kremlofskich liberałów i dać do zrozumienia, że nawet najbardziej krytyczni wobec władz opozycjoniści pasą się na krótkiej smyczy Władimira Putina.

To nie pierwsze pogłoski o związkach dysydenta Nawalnego z decydentami: wcześniej podejrzewano go o konszachty z potężnym szefem Rosnieftu Igorem Sieczinem. Trudno powiedzieć, czy nowa afera zaszkodzi przebywającemu w areszcie domowym opozycjoniście. Znaczący moskiewskich kuluarów nie widzą w niej sensacji – pogmatwane ścieżki przedstawicieli władz i opozycji krzyżują się w wielu miejscach, obie strony próbują wyciągnąć z tych niebezpiecznych związków jak najwięcej dla siebie.



© REUTERS/FORUM

Pękło Gruzińskie Marzenie

Listopad to najbardziej wybuchowy miesiąc w gruzińskiej polityce. W listopadzie 2003 r. wybuchła różana rewolucja, która obaliła rządy Eduarda Szewardnadze. W listopadzie 2007 r., po masowych protestach, prezydent Michael Saakaszwili wprowadził stan wyjątkowy i zapowiedział przyspieszone wybory prezydenckie.

4 listopada 2014 r. niemal załamał się gruziński rząd po tym, jak opuścili go najbardziej proeuropejscy ministrowie. Pierwszego – ministra obrony Irakli Alasanię – zdymisjonowano z powodu korupcji, a nieoficjalnie ze względu na wygórowane ambicje polityczne, a kolejna dwójka odeszła w geście solidarności. Wszyscy należą do jednej z partii, które dotychczas tworzyły rządzącą koalicję Gruzińskie Marzenie.

Dla Zachodu Alasania był gwarantem proeuropejskiej i pronatowskiej polityki. Urzędujący premier Irakli Garibaszwili oraz Bidzina Iwaniszwili, miliardier sterujący rządem z tylnego siedzenia, mieli raczej nadzieję na zbliżenie z Rosją. Nadzieja ta jednak przysła w związku z konfliktem na Ukrainie oraz rosnącym napięciem w separatystycznych „republikach”: Abchazji i Osetii Południowej. Kryzys w Gruzji może pogłębić zbliżający się proces Saakaszwilego, który już dziś wygląda na polityczny odwet nowej władzy. Moskwa musi być zachwycona.



© DPA/PAP

Powiew NRD?

Czy postkomuniści będą mieli swojego pierwszego w Niemczech premiera? W Turyngii, jednym z landów byłej NRD, taki scenariusz jest coraz bardziej realny. Lewica (Die Linke), spadkobierczyni komunistycznej SED, zajęła drugie miejsce we wrześniowych wyborach regionalnych. Teraz montuje koalicję z socjaldemokratami (SPD) i Zielonymi. W Bundestagu postkomuniści są dziś trzecią siłą. W niektórych landach wschodnich Niemiec nawet drugą. Na berlińskich salonach są jednak izolowani. Inne ugrupowania odcinają się od partii, która opowiada się za rozwiązaniem NATO, broni prezydenta Putina i głosi populistyczne hasła socjalne (np. 1050 euro minimalnej emerytury).

Regionalna polityka ma swoje prawa. Od kilku lat postkomuniści współrządzą w graniczącej z Polską Brandenburgii, choć tylko jako mniejszy koalicjant SPD. W Turyngii ma być odwrotnie – to Lewica chce dla siebie fotela premiera. Ma przy tym kandydata, którego trudno zdyskredytować. 58-letni **Bodo Ramelow** wychował się w RFN i jest ewangelikiem. We wschodnich Niemczech zamieszkał w 1990 r. – już po upadku muru berlińskiego. To wszystko czyni go strawnym dla potencjalnych koalicjantów. Jeśli negocjacje zakończą się sukcesem, pierwszy rząd pod wodzą polityka Lewicy może powstać 5 grudnia.

Mikołajek wśród elit

Wszyscy zachodzą w głowę, jak to się mogło stać. Francisco Nicolas Gomez Iglesias, 20-letni student prawa o aparycji 15-latk i z niezwykłym talentem do konfabulacji, dotarł na same szczyty hiszpańskiej władzy i brylował tam przez wiele miesięcy. **Uściskał rękę królowi Filipowi VI** podczas uroczystości koronacyjnych, zaprzyjaźnił się z byłym premierem José Marią Azna-rem

i byłym szefem MFW Rodrigo Rato, wiceminister handlu otwierał mu drzwi w kręgach biznesu (a w zasadzie fotografia z dygnitarzem), a on sam królował w loży dla vipów na Bernabeu, madryckim stadionie Realu. Na ważniejsze spotkania jeździł limuzyną z szoferem i zabierał ochroniarzy, miał też pojazd z policyjnym kogutem i podrobionymi tablicami oraz wiele sfalszowanych dokumentów, w tym legitymację funkcjonariusza tajnej policji. Nowo poznanym rozmówcom pokazywał album z fotografiami z całą hiszpańską wierzchością, to była jego rekomendacja i skuteczna broń.

Potknął się dopiero na progu ambasady amerykańskiej, dokąd zamierzał dostać się na raut. Tam akurat jego album nie zrobił żadnego wrażenia. Wszczęto dochodzenie i wkrótce wyszło na jaw pierwsze 25 tys. euro, które Mikołajek (jak go teraz przezywają media, nawiązując do opowieści o przygodach słynnego francuskiego urwisa) zainkasował od pewnego biznesmena jako prowizję za załatwienie czegoś w ministerstwie. Pewnie i nie ostatnie. Hiszpańskie media, rzecz jasna, mają spore używanie. A i szeroka publiczność złośliwą satysfakcję.



© AN

Foki puszczają parę

Do tej pory znany był tylko jako anonimowy „Strzelec”, teraz wiemy, że to 38-letni **Robert O'Neill** z szóstej drużyny elitarniej jednostki Navy Seals zabił Osamę bin Ladena podczas sławetnej operacji o kryptonimie Włóczęgta Neptuna – w Abbottabadzie w 2011 r. Wcześniej było szereg innych kryptonimów. O'Neill uczestniczył w ponad 400 akcjach, trzy z nich uwieczniło Hollywood. Ten pierwszy na spadochronie, który ląduje na porwanym tankowcu „Maersk Alabama” kapitana Phillipsa, to właśnie on. Za męstwo na czterech teatrach wojny odznaczony 52 razy. I po 16 latach służby przeniesiony do cywila, porzucony, z poczuciem frustracji, bo do uzyskania świadczeń kombatanckich zabrakło czterech lat. Obecnie występuje z wykładami motywacyjnymi dla biznesmenów pod ha-



© AN

słem: Nigdy się nie poddaję. Właśnie taką prawdę objawił w programie szykowanym dla telewizji Fox.

Ale inna ujawniona Foka z tej samej drużyny – Matt Bissonnette (tak się składa, że akurat wydaje książkę) – twierdzi, że O'Neill tylko śmiertelnie ranił Obamę – jednym strzałem, a nie trzema – a dobił go on sam. Tego już pewnie do końca nie da się ustalić. Okazało się też, że nagłe usunięcie O'Neill z służby związane było z tym, że chodził po barach i na lewo i prawo opowiadał o swojej przeszłości. A przecież ta, jak i całość operacji Fok, miała pozostać pilnie strzeżonym sekretem. Również z powodu osobistego bezpieczeństwa. Żona i dzieci O'Neill korzystały z programu ochrony, zerwały z nim kontakty, a teraz chcą zmienić nazwisko. Słono się płaci za przywilej bycia Foką.

Spadek po Radku



Marek Ostrowski

Awanso-dymisja **Radosława (Radka) Sikorskiego** i galopada zdarzeń ostatnich tygodni utrudniła publiczne podsumowanie 7 lat jego działania w MSZ. Nowy minister resortu **Grzegorz Schetyna** zapewnił w Sejmie, że jego poprzednik pozostawił politykę zagraniczną w dobrej kondycji i że jej cele się nie zmieniają. To prawda, ale przecież zmieniła się sytuacja wokół Polski i trzeba problemy przemyśleć na nowo.

Widzimy, że Ukraina nie rozwiązuje swoich poważnych problemów z Rosją. Nie jest winą Sikorskiego, że forsowane przez niego wraz z Carlem Bildtem Partnerstwo Wschodnie nie przyniosło spodziewanych efektów. Polska została odsunięta z pierwszej linii polityki unijnej na Wschodzie. To polityczna porażka, na którą Warszawa musi znaleźć pomysły, a nie przykrywać jej miękkim dyskursem w stylu „iż nie o wojnę chodzi, lecz pokój”.

Zachód, chyba bez wielkich nadziei, pilnuje tzw. porozumień mińskich. Ubolewamy, że nie ma nas w gronie polityków kształtujących politykę Zachodu wobec Ukrainy, ale odpowiedzmy na pytanie: a co byśmy do tej polityki sami wnieśli?



© STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Jeśli twierdzimy, rząd, a jeszcze bardziej opozycja, że niepodległość Ukrainy to jeden z najważniejszych, Giedroyciowych celów Polski, to dlaczego nie utworzymy specjalnego własnego programu Partnerstwa Ukraińskiego bez obrażania się, czy nas chcą czy nie chcą? Kwota 21 mln zł dla Ukrainy na pewno nie odzwierciedla ambicji naszej polityki, to dobre na dzielnicę małego miasta. Polityka kosztuje, samymi zakłębami jej się nie zrobi.

Minister Schetyna słusznie zaakcentował dwutorową politykę wobec Rosji. Rosja zakwestionowała ład międzynarodowy w Europie i tego nie wolno zaakceptować, polityka utrzymania sankcji jest konieczna. Ostatnie doniesienia o spadku kursu rubla i ostrożności inwestorów zachodnich w Rosji dowodzą, że sankcje przynoszą resulta-

ty, zwłaszcza że liderami sankcji są Niemcy, którzy nie wahają się ponosić ich kosztów ekonomicznych. Drugi tor to podtrzymywanie kanałów komunikacji z Rosją: słusznie Schetyna powiedział, że stosunki z Rosją mogą być mimo wszystko dobre.

Nowy szef MSZ przypomniał, że bezpieczeństwo Europy jest niepodzielne i że zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” musi działać tak samo w odniesieniu do Wschodu, jak i do Południa Europy. To korekta niezbyt fortunnego oświadczenia prezydenta Komorowskiego, iż Polska w siłach ekspedycyjnych uczestniczyć nie będzie. Polska, słusznie szczycąca się swoimi sukcesami w Europie, musi brać na siebie, proporcjonalnie do innych, wszystkie europejskie obowiązki. Nie możemy ich po prostu zepchnąć na Donaldusa Tuska, którym tak hojnie obdarzyliśmy Unię.

Wreszcie – bezpieczeństwo. Schetyna cieplej niż Sikorski mówi o Ameryce, z którą chcemy pogłębiać współpracę obronną. Ale polityka amerykańska, z właściwą sobie bezwzględnością, po wyborach w połowie ostatniej kadencji prezydenta, korzystnych dla republikanów, czyni z Baracka Obamę kulawą kaczkę. Jak sojuszników trzymać za słowo w sprawie natowskiej szpicy i umocnienia wschodniej flanki Sojuszu? Miejmy nadzieję, że Schetynę będziemy rozliczać w spokojniejszych czasach niż Sikorskiego.



© EAST NEWS

Fragment instalacji do utylizacji paliwa raketowego AK-20K

Z czego paliwo? Z magazynu

Utylizacja wielu ton silnie trującego, niebezpiecznego i zupełnie nieużytecznego już paliwa raketowego AK-20K zajęła Agencji Mienia Wojskowego (AMW) kilka ładnych lat. Kiedy wreszcie wart 11 mln zł projekt udało się zakończyć i nawet upamiętnić tablicą, okazało się, że nagle odnaleziono zawieruszone gdzieś kolejne 7 ton. Oznacza to, że po raz kolejny od podstaw trzeba będzie zbudować linię utylizacyjną, w związku z czym zneutralizowanie jednego kilograma będzie kosztować nie 12, lecz 65 zł. W sumie kwoty może nie są zawrotne, ale sprawa jest bulwersująca, bo to zwykle marnotrawstwo. AMW kilkakrotnie monitorowała wojsko, czy w magazynach nie zostało paliwo raketowe. Odpowiedzialni za magazyny zgodnie twierdzili, że paliwa AK-20K nie mają już nawet jednego grama. W zasadzie nie kłamali, bo na składach mieli paliwo AK-27p. A to przecież nie to samo. Te 7 ton zapodziało się w magazynie w Mrzeżynie. AMW nie chciała komentować tej sytuacji.

Sprawa wojskowych składów i ich zawartości to temat dużo szerszy. Wojsko ma bardzo rozbudowaną strukturę magazynów, która jest wianem jeszcze po czasach PRL. O ile wiele rzeczy w armii zostało już zreformowanych, o tyle magazyny trzymają się mocno. Nawet te już przewietrzane. Wojsko przymierza się wreszcie do dostosowania sieci magazynów do swoich potrzeb i do nowych realiów. Tym bardziej że dwa duże składy amunicji i uzbrojenia utrzymywane są kilka kilometrów od obwodu kaliningradzkiego. Ale od pierwszej przymiarki do uszycia nowej sieci miną pewnie lata.

Nikt już Tuska nie pokona

Donald Tusk ostatecznie pożegnał się z polską polityką. Przynajmniej na najbliższe lata, choć być może na zawsze. Powroty bywają bardzo trudne, czasem bolesne, a najczęściej są po prostu niemożliwe. Na sobotniej krajowej konwencji Platformy Obywatelskiej, podczas której nastąpiło przekazanie władzy w partii premier Ewie Kopacz, były szef rządu powiedział, że nie ma ludzi niezastąpionych, ludzie są jedynie niepowtarzalni. I każdy kolejny dzień dowodzi, że – co było prawie nie do wyobrażenia – nasza polityka bez Tuska toczy się dalej, a dla Platformy nawet z nadziejami na większe sukcesy niż pod wodzą zegnającego się lidera. Tusk pozostanie jednak niepowtarzalny, bo też styl uprawiania przez niego polityki, rodzaj charyzmy, zdolność koncentracji w momentach najtrudniejszych, a tych akurat mu nie brakowało – by wspomnieć tylko największy światowy kryzys gospodarczy, smoleńską katastrofę, wielkie powodzie czy zagrożenie aferami – są nie do powtórzenia. Tak jak umiejętność wygrywania w sytuacjach zdawałoby się beznadziejnych.

Tusk odchodzi niepokonany, od kiedy objął władzę w 2007 r. Przyznał, że zawsze o tym marzył. To jednocześnie tak, jakby spełnił się czarny sen Jarosława Kaczyńskiego, że już nigdy nie wygra z Tuskiem. Wygrana z Ewą Kopacz, nawet jeśli kiedyś nastąpi, nie da już liderowi PiS takiej satysfakcji. Nie tylko dlatego, że od początku okazano jej lekceważenie, ale dlatego, że Tusk był dla Kaczyńskiego przeciwnikiem głównym. W dodatku Tusk odchodzi w aurze sukcesu – osobistego i Polski, jako ważnego europejskiego kraju. A przecież kiedy zostawał premierem, byliśmy do Europy odwróceniem plecami, targujący się o głupstwa, które i tak nie miały znaczenia, jak choćby słynne liczenie głosów w traktacie lizbońskim. Symbolicznie, w przeddzień ostatecznego pożegnania Tuska, otwarto obwodnicę Augustowa, która przed laty była źródłem tyłu protestów, bo mieliśmy zabagnione i lekceważone kwestie ochrony środowiska wobec coraz bardziej wymagającej Europy.

Siedem lat na stanowisku premiera to okres sukcesów, ale też porażek i dziś prawdziwa, rzetelna ocena dokonań i zaniechania Tuska i jego kolejnych rządów jest właściwie niewykonalna. Jedni będą zwolennikami jego spokojnej polityki ciepłej wody w kranie, inni stwierdzą, że stracił szansę dokonania głębokich reform. Będzie się liczyć niespełnione obietnice lub wskazywać, co zrobiono bez ostrzeżenia, bo takie akurat były wyzwania. Kiedyś można było marzyć o podatku liniowym, dziś ważniejsze stają się ulgi na dzieci i system pomocy rodzinie, nawet jeśli psują one system podatkowy. Z siedmiu lat rządzenia można tkać dowolne gobeliny.

Sukces Polski – tak brzmiało hasło przewodnie konwencji PO, która żegnała Tuska. Sukcesów jednak nie opisywano w nadmiarze. Przeciwnie, Donald Tusk znów zaskoczył. Jeśli ktoś się spodziewał wielkiego przemówienia na pożegnanie, a takie Tusk wygłosić potrafi, przesłania dla przyszłości, jakiegoś testamentu czy rozliczenia, mógł się poczuć zawiedziony. Pożegnanie z partią i wyborcami, a tym samym ze społeczeństwem, było ciepłe i serdeczne, momentami ze łzami w oczach, ale w gruncie rzeczy swoją zwyczajnością zamazujące ową historyczność momentu. Po prostu dokonała się zmiana w sztafecie liderów partii rządzącej, czyli stało się coś w gruncie rzeczy normalnego. Po Tusku przyszła Ko-



pacz, której były już przewodniczący zaufał i widać, że partia ufa jej coraz bardziej. To już nie była zdezorientowana Platforma, która czekała, czy lekarka z Szydłowca coś potrafi, choćby wygłosić exposé, bo przecież pretendenci do schedy po Tusku byli inni. Dziś sama Ewa Kopacz, wyraźnie pewniej czująca nowe funkcje, wezwała partię: „Idźcie i wygrywajcie. Wygrywajcie rozumem i sercem”. Tym samym utwierdziła i nazwała nowy, obowiązujący kurs – pragmatyzm. PO znów chce ogarnąć wszystkich.

Podczas konwencji ani razu nie padła nazwa partii Prawo i Sprawiedliwość, nie było cienia polemiki z Jarosławem Kaczyńskim, z jego nieustannymi atakami na Platformę i rząd, nie było polemiki z żadnym innym partyjnym liderem. Nie było uszczypliwości z powodu ostatnich, niewątpliwie przygnębiających dla PiS wydarzeń – nieudanego ataku na marszałka Sikorskiego, zlekceważenia przez Kaczyńskiego debaty o polityce zagranicznej w czasie podobno tak bardzo dla Polski niebezpiecznym czy wreszcie konieczności wyrzucenia w trybie wyborczym, a więc wyjątkowo przyspieszonym i zdecydowanym, czołowych młodych polityków PiS. Tych, którzy wraz z małżonkami próbowali zaszać w Madrycie za sejmowe pieniądze. Platforma po prostu świętowała swoje odrodzenie i wiarę w przyszłe sukcesy. Do weryfikacji świątecznego nastroju czasu jednak zostało niewiele, bo już 16 listopada pierwsza wyborcza próba.

Tak się stało, że w sobotę 8 listopada dwie główne partie urządziły ostatnie przed wyborami duże konwencje. PiS zjechała do Szczecina i po raz kolejny Jarosław Kaczyński pokazał, że jest politykiem niepowtarzalnym w swej powtarzalności. Wydawać by się mogło, że jeśli już opóźnił swoje wystąpienie, aby zobaczyć, co dzieje się na konwencji PO, i zmieścić się w telewizyjnym okienku, to powinien wyciągnąć wnioski i choć trochę zmienić ton. Tymczasem Kaczyński uparcie walczy z widmem, zmagając się nieustannie i coraz bardziej jałowo z Tuskiem i jego państwem, w którym wprowadził „terroru” nie było, ale ludzie zaczęli się już bać. Zaczęli się bać głoszenia własnych poglądów, bowiem media tworzyły taki obraz rzeczywistości, że pod ich presją strach było przemówić własnym głosem. To co dzieje się teraz, to kolejna odsłona tego samego. Tak jak w komunizmie były kolejne etapy, tak teraz mamy odnowę socjalistyczną (czyli Kopacz), ale w gruncie rzeczy to jest ten sam komunizm, ta sama żądza władzy dla władzy, ochrona interesów tych samych grup itp., itd. Zmiana może oczywiście przynieść tylko władza PiS.

Jednak pechowo dla prezesa młodzi politycy PiS wycieli mu numer na finiszu kampanii, bo pokazali, jaka to może być zmiana. Pechowo, bo zapewne obyczaj naciągania Sejmu na wydatki, aby parę groszy zostawić we własnej kieszeni (w tym przypadku może chodzić o 2,5 tys. na głowę), dotyczy nie tylko tej partii. Obyczaj może być powszechniejszy, wszak o sposobach dorabiania przez niektórych eurodeputowanych słyszymy od dawna, a tu mamy do czynienia z przypadkiem podobnym. Trafiło jednak na PiS, partię, która o konieczności moralnej odnowy i zmiany ekipy na lepszą pod każdym względem, także pod względem uczciwości i standardów moralnych, tyle i tak często mówi. Dotychczas ekscesy młodych tolerowano, ale moment nie sprzyja tolerancji, lecz wymierzaniu kar. Aby nie uronić żadnego wyborczego głosu.



przykładów w różnych miejscowościach jest wiele – wymieniał Girzyński na posiedzeniu połączonych sejmowych komisji kultury, samorządu terytorialnego, administracji w zeszłym tygodniu.

Jeśli ustawa wejdzie w życie (a wszystko na to wskazuje, bo przeciwko jest tylko SLD), to obowiązek dokonania zmian będzie spoczywał na samorządach. Koszty związane z wymianą tabliczek z nazwami ulic, dowodów osobistych, innych dokumentów, wizytówek, szyldów reklamowych itp. mają być pokryte z budżetu państwa. Ale nikt nie policzył, ile konkretnie będzie ta dekomunizacja przestrzeni kosztować. Nowa nazwa byłaby „swobodnie przyjęta przez zainteresowanych”, czyli lokalne wspólnoty. A w przypadku opieszałości nadawałby ją wojewoda.

Opinię w sprawie oceny historycznej nazw ulic, pomników czy orderów ma wydawać IPN i nie będzie za to pobierał pieniędzy. Posłowie PiS przy tej zmianie chcą oszczędzić „wybitnych twórców kultury narodowej Broniewskiego, Tuwima, Brzechwę i innych, którzy w dłuższym lub krótszym okresie swojego życia ulegali komunistycznym mirażom”, ale tylko w przypadku, gdy dana nazwa lub przedmiot nie wyrażają pochwały dla komunizmu. Prokurator generalny Andrzej Seremet zwraca uwagę, że ustalenie, czy coś gloryfikuje komunizm czy nie, może być trudne.

© ANDRZEJ SIDOR/FORUM

Dekomunizacja przestrzeni

Na kilka dni przed wyborami samorządowymi posłowie postanowili wyjąć z sejmowej zamrażarki – po prawie trzech latach – projekty ustaw przewidujących zniknięcie z przestrzeni publicznej symboli komunizmu. Chodzi między innymi o pomniki żołnierzy radzieckich i nazwy ulic, takie jak Świerczewskiego czy Gomułki. Projekt senacki forsowany przez PO dotyczy zmiany nazw ulic, dróg, mostów i budynków z symbolizujących ustroje to-

talitarne na inne. Poselski – autorstwa PiS, który w imieniu klubu prowadzi Zbigniew Girzyński – idzie o wiele dalej i proponuje także likwidację pomników komunistycznych, obiektów oraz odebranie orderów, odznaczeń oraz tytułów honorowych nadanych przez władze w latach 1944–89 za zasługi na rzecz komunizmu. – Mamy w Polsce ulice Manifestu Lipcowego, Polskiej Partii Robotniczej, Gomułki, jest jedna, jak niedawno sprawdzałem, ulica Bolesława Bieruta, i takich

Tadeusz Iwiński (SLD) apelował zaś, aby nie odgrzewać w Sejmie sporów o historię: – Nie ma powodu uchwalania takiej ustawy. Obecny stan prawny pozwala na to, że decyzje samorządów mogą być podejmowane w sposób kompromisowy. Było na to wiele dowodów, gdy przenoszono, za zgodą samorządów i nie tylko samorządów, pomniki żołnierzy Armii Radzieckiej na nekropole.

(DAB.)

Jan Koza



© JAN KOZA

38 – o tyle procent spadła w ciągu 40 lat dzietność w Polsce:

według danych ONZ wskaźnik ten w latach 70. wynosił u nas 2,23, obecnie to 1,38 (GUS podaje nawet, że 1,3), i należy do najniższych na świecie. Dla grupy krajów rozwiniętych (OECD) wskaźnik dzietności w latach 70. wynosił 2,7, a obecnie – 1,8. Dzietność oznacza liczbę dzieci przypadających na jedną kobietę w wieku rozrodczym (15–49 lat). Przyjmuje się, że zastępowalność pokoleń zapewnia współczynnik dzietności 2,10–2,15.

(PI)

100 g WYROBU
WYPRODUKOWANO
ZE 130 g
MIESA

FORMOWANA
RĘCZNIE



TRADYCYJNIE
WĘDZONA
NA ŻYWYM OGNIU

NIE ZAWIERA
GLUTAMINIANU

Szynka Sztabowa

KRAKOWSKI
KREDENS

TRADYCJA
GALICYJSKA

www.krakowskikredens.pl

Kup książkę

Życie jak w Madrycie

Adam Hofman
z żoną Joanną

Szkoda chłopów. Przynajmniej Kamińskiego i Hofmana. Nie żeby wyrażali poglądy bliskie moim; i nie żeby się zapowiadali na jakichś Geremków; ale przynajmniej mają IQ, którego nie trzeba się wstydzić w sklepie. Ale się zmarnowali.

JACEK ŻAKOWSKI

W odróżnieniu od Ziobry obaj panowie raczej byliby w stanie zdać egzamin aplikancki. Wielu takich młodych dziś w polityce, a zwłaszcza w Sejmie, nie ma. I trzeba powiedzieć, że nie tylko partia, ale też Polska sporo w nich inwestowała na szybkich ścieżkach ich politycznej kariery. Na marne.

Nie w tym sensie, że wpadli na wstydlwych kombinacjach i zapewne zostaną wyrzuceni z partii. Naprawdę złe jest to, że zostali do tego stopnia zdemoralizowani, że to, co zrobili, robili nawet się specjalnie nie maskując, nie zacierając śladów, niemal ostentacyjnie. Czyli nie widzieli w tym nic specjalnie złego, a zwłaszcza nic groźnego, co by mogło złamać ich kariery. W gruncie rzeczy musieli być przekonani, że tak się po prostu robi. Albo że można tak robić. To dużo o nich mówi, ale też mówi sporo o ich otoczeniu. Bo nikt się z takim poczuciem nie rodzi. Przez te kilka lat, które spędzili w polskiej polityce, musieli tym poczuciem czy przekonaniem nasiąknąć.

Nie myślę tylko o kuriozalnym koncepcie, żeby w służbową podróż do Madrytu posłowie jechali swoimi samochodami (i to zdaje się trzema). Prawdę mówiąc, już w chwili gdy złożyli takie wnioski, urzędnik Kancelarii Sejmu powinien zawiadomić prokuraturę albo CBA o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Bo to jest prawie 3 tys. km, czyli dwa dni podróży w jedną stronę (według Google – 27 godzin czystej jazdy). Szwindel czuć tu na miłę. Gdyby nie stał za tym jakiś szemrany interesik, kto by miał ochotę męczyć się prawie 30 godzin przy kółku zamiast luksusowo odbyć kilkugodzinną podróż w lotowskiej biznesklasie?



Dobre pytanie, prawda? I poważniejsze, niż się na oko wydaje. Bo w odróżnieniu od lotnisk wewnątrz Unii na granicach drogowych nie ma żadnych kontroli. Na pierwszy rzut oka czułbym tu więc raczej pranie brudnych pieniędzy albo narkotyki wiezione pod przykrywką dyplomatycznych paszportów niż banalne szmuglowanie całkiem legalnych żon, o które zdaje się chodziło. Nie wierzę, że pomysł samochodowej podróży do Madrytu nie dał do myślenia urzędnikom w Sejmie. I że nie zdziwił partyjnych kolegów, którzy musieli być powiadomieni o długiej służbowej nieobecności trójki. Takie spotkania, na jakie jechali, nie ciągną się przecież tygodniami. A podróż samochodem zajęłaby przynajmniej 4 dni. Więc także dla władz klubu musiało być jasne, że chodzi o coś innego niż udział w konferencji. A, o ile wiem, nikt nie oponował.

Nikt nie powinien dostać ani grosza sejmowej zaliczki na taką wyprawę. Ale finansowy przekręt na kilka-kilkanaście tysięcy, o który zdaje się mogło chodzić, to pestka przy tym, co działo się na miejscu. Tam, jak wynika z informacji organizatorów, członkowie reprezentacji polskiego parlamentu podpisywali się na listach obecności i niezwłocznie znikali. Wyobraźmy sobie, jak byśmy zareagowali, gdyby tak zachowali się członkowie reprezentacji piłkarskiej podczas wyjazdu na międzynarodowe zawody. Przychodzi godzina meczu, a trzech zawodników wyjściowej jedenastki, zamiast być na stadionie, zwiedza zabytki i knajpy oraz robi zakupy z żonami. Nawet gdyby to byli Lewandowski ze Szczęsnym, dyskwalifikacja byłaby oczywista. Polska by przecież zawyla. A tu nikt nie zawył. Nikt nawet nie pisał. Choć na miejscu byli inni Polacy.

Nie zamierzam rozmyślać osobistej odpowiedzialności trzech posłów Prawa i Sprawiedliwości. Jarosław Kaczyński miał absolutną rację, zapowiadając od razu usunięcie ich z partii. Ale sprawa jest jeszcze poważniejsza niż upadek trzech młodych-zdolnych z PiS (Hofman ciągnął zresztą za sobą całą smugę cienia: od etatu w KGHM stworzonego specjalnie dla jego żony, przez tajemnicze pożyczki od przyjaciela, po nagrane deliberacje o długości przyrodzenia). Cóż, to, co na tle naszych oczekiwań i wyobrażeń o oczywistych standardach wygląda szokująco, mogło się zdarzyć tylko dlatego, że niezbyt odstaje od otoczenia, faktycznie działającej normy i uświęconej praktyki, której my, wyborcy, na co dzień nie widzimy.

W sprawie Hofmana i spółki martwi mnie zwłaszcza, że zapewne nic by się nie wydało, o niczym byśmy się nie dowiedzieli i nie byłoby żadnej kary, gdyby nie to, że żony posłów zdaje się chciały w samolocie napić się trochę taniej i polewały z rękawa zamiast zamówić drinka

u stewardesy. To znaczy, że przypadkiem odkryliśmy raczej nie incydent, ale jakąś patologiczną normę milcząco akceptowaną przez sejmową administrację, partyjnych kolegów, posłów innych partii wchodzących w skład delegacji. Nie chodzi więc o incydent, ale o stan świadomości elity.

Problem przekraczania granic przyzwoitości (czasem także prawa) przez jednych i milczącego tolerowania tego przez innych członków elity nie jest tylko problemem elity pisowskiej ani politycznej. Ta zaraza roznosi się jak ebola. Sprawa niedosłusznego doktoratu Marka Goliśzewskiego była bardzo podobna. Oczywiście konflikty interesów i równie oczywiste (delikatnie mówiąc) słabości dysertacji nie niepokoiły nikogo w dostojnej Radzie Wydziału ani we władzach dziekańskich, dopóki nie stały się przedmiotem studenckich kpin, ośmieszających memów, medialnego skandalu, interwencji rektora i ministra. Nawet jednak kiedy Rada Wydziału ostatecznie naprawiła swój błąd, nikt z bohaterów sprawy nie wyraził skruchy.

Autor utrzymuje, że padł ofiarą spisku wrogich przedsiębiorcom medialnych lewaków, promotor nabrał wody w usta, a BCC oraz fundacja kierowana przez jednego z recenzentów bez zażenowania rozsyłają wyciągane od rozmaitych osób wyrazy poparcia. Tu też wieloletnia bezkarność stworzyła odstającą od międzynarodowych standardów akademickich i szokującą dla osób z zewnątrz normę.

W obu przypadkach, zgodnie z nową normą, przeprosiny nie wchodzi w rachubę. Nawet poseł Wipler, który się nawalił jak atom i nie dając się zakuć, rozkosznie wierzgał, leżąc na chodniku, teraz zamiast publicznie żałować, obiecywać poprawę i prosić o niski wymiar kary, zamęcza nas obrazami swojego męczeństwa i żąda ukarania policjantów, którzy go z trudem poskramiali. Podobnie zresztą jak minister Sikorski, który nie wykorzystał żadnej z licznych okazji, by przeprosić podatników, że trwoni ich pieniądze na pretensjonalne wino za kilkaset złotych. Podobnie też jak trzech podróżniczy z PiS, którzy wciąż jeszcze próbują różnymi oświadczeniami całą sprawę zamulać, choć jest aż nadto wstydliva i oczywista.

Nie twierdzę, że wobec Wiplera policja działała perfekcyjnie, że Sikorskiego wolno było podsłuchiwać, recenzenci, doktorant, członkowie Rady Wydziału nie mogli się zagapić, a posłowie nie mogli pomyśleć, że nie będzie sprawy, jeśli nikt obojętnie nie straci. Ale człowiek zaliczający sam siebie do elity i jakimś zbiegiem okoliczności przyłapany w takim wstydliwym momencie powinien poprzestać na uczciwej ekspiacji, nie szukając ulgi w oskarżaniu innych. Problem polega na tym, że norma uświęcona już przez dużą część elity jest inna. Ziobro nie chciał przeprosić za słowa „nikt nigdy przez tego pana ży-

cia pozbawiony nie będzie” ani za nic innego; Kaczyński nie przeprosił za to, że go mianował ministrem itd. Tu jest nasz pies pogrzebany. Bo incydenty boją, śmieszają, oburzają, ale naprawdę groźna i niszcząca jest patologiczna norma, z której wyrastają.

Ta norma, która zakazała i zniszczyła Wiplera, Kamińskiego, Hofmana, konsekwentnie zakazała i niszczy kolejne osoby dające nadzieję na personalną lub pokoleniową zmianę po prawej stronie polskiej sceny politycznej. Bo przecież PO też poniosła ostatnio bardzo bolesne straty. Nowak i Protasiewicz – śmiertelnie trafieni. Sienkiewicz i Sikorski – ciężko ranni. Rostowski poturbowany.

Ta tendencja się nasila. Nie myślę o klasycznych błędach selekcyjnych, jak Piskorski, Rokita, Giertych czy Marcinkiewicz, którzy reprezentując to, co reprezentowali, nigdy nie powinni zejść aż tam, dokąd zaszedli. Problem w tym, że zaraza niszczy nie tylko kadrowe nieporozumienia, ale też prawdziwe i pełnokrwiste talenty jedynych ugrupowań realnie rywalizujących o władzę. W tym sensie nie jest to problem PiS, PO ani PO-PiS. Jest to polski problem bez względu na to, co kto myśli o obu tych partiach i każdej z osobna.

Problem nie spadł z nieba. Jest skutkiem sytuacji polskiej polityki, która stoczyła się w stan totalnej polaryzacji sprawiającej, że wszystko co „nasze” jest dobre, a wszystko co „ich” złe. Po „ich” stronie nie może więc zdarzyć się nic dobrego, a po „naszej” nic złego. Żdźbło w „ich” oku od razu zamienia się w belkę, a belka w „naszym” oku niezwłocznie staje się żdźbłem. Wszelkie zło, które „my” robimy, zostaje niezwłocznie usprawiedliwione i szybko wybaczone. A zło po „ich” stronie zostaje wyolbrzymione tak, by logicznie prowadziło do żądań kary śmierci lub choćby dymisji. Tak przecież prezes Kaczyński tłumaczył sprawę Hofmana – „my” od razu się oczyszczamy i pozostajemy czysti, a PO...

Taka praktykowana latami kultura polityczna musi prowadzić do demoralizacji. Nie wszyscy się demoralizują w takim samym stopniu, ale każdego to jakoś dotyka. Bo kiedy psy przez lata bez skutku szczekają, a winni jadą dalej i zawsze mogą liczyć, że każda krytykę koledzy odbiorą wyłącznie jako wredny atak, poczucie bezkarności musi przecież narastać. W tym sensie swoją cywilną śmierć poseł Hofman zawdzięcza wprost heroicznej obronie Karola Karskiego po jego słynnym rajdzie cypryjskim meleksem (notabene Karski jest rzecznikiem dyscyplinarnym w PiS). To oczywiście nikt nie usprawiedliwia, ale trzeba być aniołem albo już bardzo mocno ukształtowaną osobą, by temu przez lata nie ulec. Więc trup będzie się ścielił jeszcze gęściej, jeśli nie uda nam się osłabić polaryzacji, która od lat blokuje konieczny w demokratycznej polityce rygoryzm. ■